ROK TRZECI.

№ 46.

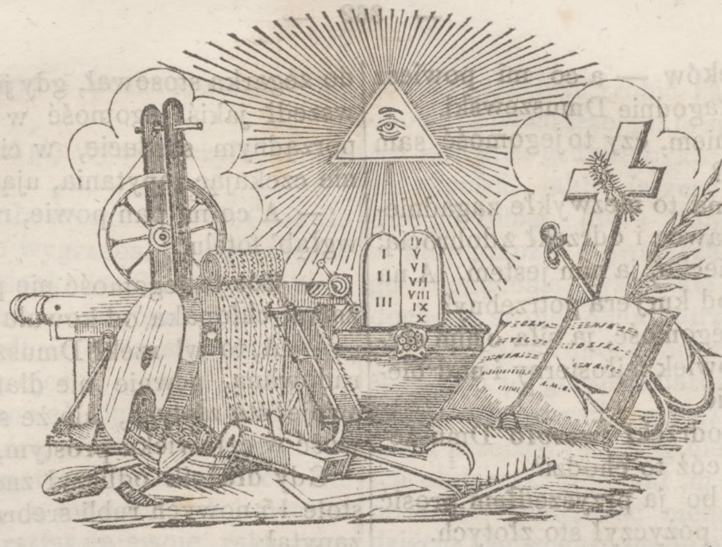
**Warszawa**

**Dnia 2 (14) listopada**

**1858.**

**Niedziela**

25ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

**PRENUMERATA**

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rs. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

*„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“* (Ś. Wincenty à Paulo).

# CZYTELNIA NIEDZIELNA.

*Spraw, prosimy Cię Wszechmogący Boże, iżbyśmy będąc zawsze zajęci roztropnemi, a świętemi myślami, wykonywali i w słowach i w uczynkach to, co się Tobie podoba.* (Kollekta na niedzielę 25tą po Świątkach).

## Dmuszewski Ludwik Adam.

Użyteczną swą pracą dzielił się z bliźniemi;
Błogosławi go wdowa, starzec i sierota,
A kto takie pamiątki zostawia na ziemi,
Godzien wiekuistego w niebiosach żywota.

Te kilka słów wyrytych na grobowcu Ludwika Adama Dmuszewskiego, przed jedenastu laty zmarłego, dostatecznie malują pracowity i pożyteczny żywot tego człowieka. Znała go cała Warszawa, już to jako utalentowanego artystę dramatycznego, już jako zdolnego autora, już wreszcie jako redaktora jednego z najpopularniejszych pism perodycznych *Kuryera Warszawskiego*, a z każdego z tych zadań, nietylko że Dmuszewski wywiązał się zawsze sumiennie, ale nadto musiał sobie zjednać powszechne współczucie i poważanie. Największą jednak jego zasługę stanowi, niewyczerpana dobroć serca i dobroczynność, owa dobroczynność cicha, bez rozgłosu, tak rzadka w dzisiejszych czasach; i dlatego to za życia jego mało wiedziano o rozsiewanych przez niego dobrodziejstwach, dopiero obrzęd pogrzebowy, na który zebrały się tłumy ubóstwa, zwrócił uwagę Warszawy i przekonał ją, iż tracąc Dmuszewskiego, traciła nietylko ulubionego redaktora, ale nadto człowieka pełnego serca i poświęcenia.

Z licznych jego dobrodziejstw, przytoczymy jedno, czyniące zaszczyt tak świadczącemu jak i odbierającemu takowe, pokazujące oraz, jak małą niekiedy ofiarą można stać się prawdziwym dobroczyńcą i ocalić bliźniego od zguby.

Będzie temu lat dwadzieścia kilka, siedział on w swoim gabinecie, porządkując materyały do jutrzejszego kuryera, gdy wszedł dyspozytor drukarni z oznajmieniem, że jakiś młody rzemieślnik chce się z samym panem redaktorem widzieć. Dmuszewski kazał go przywołać; przybyły mógł mieć lat około 20, ubrany był w granatowy szpencer dobrze już podszarzany, twarz miał ogorzałą od dymu, a ręce czarne i zapracowane.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł, kłaniając się nisko.

— Na wieki wieków — a co mi powiesz chłopcze? zapytał łagodnie Dmuszewski.

— Z przeproszeniem, czy to jegomość sam majster od kuryera?

Uśmiechnął się na to niezwykłe zagadnienie czcigodny wydawca i odrzekł z dobrocią:

— Tak, moje dziecko, ja nim jestem. A na cóż ci ten majster od kuryera potrzebny?

— Ej, bo widzi jegomość, ja siła o nim słyszałem, że on człowiek miłosierny i nad biednymi ma zlitowanie.

— Nie zawsze, odrzekł wesoło Dmuszewski i dodał: ale o cóż to chodzi?

— Nie o mało, bo ja przyszedłem prosić jegomości, żeby mi pożyczył sto złotych.

— Sto złotych, a to na co?

— Ej, wieleby o tem gadać, a jegomośćby nie wierzył, jeszczeby się naśmiał. Ot ja jegomości powiem, że dalibóg, jak Matkę Boskę Częstochowską kocham, tak za sześć lat oddam jegomości pieniądze co do grosika, i jeszcze do nóg upadnę za łaskę.

— Cóżeś ty za jeden?

— Chłopiec kowalski, proszę jegomości. Jestem u kowala Jankowskiego na Chłodnej ulicy, może się jegomość o mnie dowiedzieć.

— Przyjdźże jutro, ja wprzód każę się o ciebie zapytać.

— Jutro?... to już ja dziękuję jegomości za łaskę, do jutra inaczej sobie poradzę.

— Jak naprzykład?

— Ej, co tam gadać! dość, że poradzę; trudno ręce opuścić, kiedy potrzeba.

Dmuszewski popatrzył uważnie w ogorzałą twarz chłopca; co tam dojrzał, nie wiemy, dość, że odsunął szufladkę biurka i wyliczył na stole 15 rubli srebrnych. Chłopcu z radości łzy się zakręciły w oczach, zgarnął pieniądze do kalety, ujął za kolana dobroczyńcę i odszedł, a Dmuszewski zajął się nanowo porządkowaniem materyałów do kuryera.

Czy zasięgał wiadomości o swoim dłużniku u kowala Jankowskiego, mieszkającego na Chłodnej ulicy w domu, który teraz zowią *pod zegarem*, nie wiemy, dość, że lata mijały jak zwykle, szybko w radości, leniwo w smutku, a Dmuszewski ani razu nie wspomniał o chłopcu od kowala.

W sześć lat nasz redaktor zajmował się znów w swoim gabinecie, taką samą czynnością, bo wiadomo jak on zatrudnienia swoje do zegarka stosował, gdy już bez meldowania wszedł jakiś jegomość w długim, czarnym, porządnym surducie, w cienkiej bieliznie, i nie czekając zapytania, ujął go za kolana.

— A co mi pan powie, rzekł, usuwając się wgłąb' fotelu.

— Cóż to jegomość nie poznał swego dłużnika, chłopaka od kowala Jankowskiego?

— A, to ty! rzekł Dmuszewski z twarzą uradowaną, pewnie nie dlatego, że odzyska swoje sto złotych, ale że spotkał taką uczciwość w człowieku prostym, nieoświeconym.

Gdy dłużnik odliczył znów na tym samym stole 15 nowych rubli srebrnych, Dmuszewski zapytał:

— Powiedzże mi teraz mój kochany, na co ci pieniądze wtenczas tak pilno były potrzebne, i jakbyś sobie był poradził, gdybym ci kredytu odmówił?

— Widzi bo jegomość, że ja wtedy byłem bardzo biedny, sierota, bez ojca i matki, a nawet i krewnych, ot na łasce kowala, u którego za kawałek chleba i starą odzież terminowałem. A była w tym samym domu uczciwa dziewucha, także sierota po żołnierzu, w służbie u jakiejś wdowy. Ja ją lubiłem, bo ona tak ślicznie wyśpiewywała wiejskie piosnki, i była uczciwa, jak mało. Trafiło się nieszczęście, że tej pani, u której służyła, zginęło cztery srebrnych łyżek, więc dalej w posądki na nią. Nieboga płakała serdecznemi łzami, wywoływała z grobu ojca i matkę, ale nic nie pomogło; zawzięta pani powiedziała, że jeżeli nie zapłaci jej zaraz sto złotych, to ją odda na ratusz. Myślałem, że biedaczka umrze z żałości; nie spała, nie jadła, tylko wyrzekała nad swoją dolą. Żal mi się jej zrobiło, a nie miałem sam ani szeląga przy duszy. Ej, trzeba ją ratować, choćby się zaprzedać, pomyślałem sobie i poszedłem do jegomości, bo wiedziałem od drugich, że jegomość ma nad biednymi zlitowanie.

— A gdybym go nie miał? podchwycił ciekawie Dmuszewski.

— Tobym, przyznam się ze wstydem, dopuścił się chyba kradzieży, bo człowiek był wtedy młody i głupi, i mniej wtedy baczył, jakąby to było zbrodnią w oczach Boga i ludzi. Ale Bóg dobry mnie ustrzegł i natchnął myślą przyjścia do pana, i temu to zawdzięczam

dzisiejszy dobry byt i poszanowanie u ludzi.

— A ona jakże ci się wywdzięczyła, za ten ratunek?

— Co się nie miała wywdzięczyć? Czekała na mnie, dopóki nie wygrzebałem się na ludzi. Termin za pięć lat się skończył, zostałem pierwszym czeladnikiem, ożeniłem się z nią, i wkrótce moja Magdusia doda mi poszanowania u ludzi, bo będę ojcem.

Dmuszewski schował pieniądze do tej samej szufladki, z której przed sześcią laty wyszły i coś sobie zanotował na karteczce. Nie wyszło i pół roku, a ów czeladnik kowalski założył sobie warsztat na swoję rękę przy ulicy Orlej; roboty miał podostatkiem tak, że czasem nie mógł jej wystarczyć. Ludzie mówili, że w tem wszystkiem dopomagał mu bardzo ów majster od kuryera; może mówili prawdę, bo on lubił dobrze ludziom robić, ale dowodnie nikt się o tem nie przekonał.

Kowal uzbierawszy sporo grosza, zatęknił do stron rodzinnych i przeniósł się w r. 1847 do niewielkiego miasta w Podlaskiem. Jak mu tam idzie, nie wiemy, dość, że wybawienie od hańby i byt swój winien jednemu szlachetnemu uczynkowi dobrego człowieka. (1)

---

## Adam zpod Łukowa.

(Opowiadanie prawdziwe).

W gubernii Augustowskiej o milę od Łomży, leży wieś, którą my Wulką zwać będziemy. Tam w roku 1825 siedzieli przed drewnianym, porządnym dworkiem młodzi jej dziedzice pp. Radowscy, co się niedawno byli pobrali. Wieś tę sama pani, z licznej rodziny najmłodsza, w posagu dostała. Wieś wprawdzie nie była mała, ale grunta kamieniste rodziły niewiele, całą też teraz uwagę zwrócił pan Radowski na ich poprawę i uporządkowanie. Właśnie dnia tego, o którym mówimy, gdy usiadł wieczorem obok żony przed domem i przypatrując się wracającemu z pola bydełku, rozpowiadał jej szeroko, co na przyszłość zrobić zamyśla, jak będzie chował inwentarze, jakie sprowadzi pługi, jak ten kawałek gruntu wykarczuje, a tamten na las zapuści, jakto jeszcze procentować będzie gorzelnia, którą dopiero co wystawił i w której złożył największe nadzieje przyszłego zbogacenia i wszystkie prawie kilkoletnie dochody swoje. Żona patrzała na niego z wiarą i słuchała z upodobaniem, bo choć dla wystawienia tej gorzelni bardzo skromnie żyć musieli i we wszystkiem niezmiernie się oszczędzać, przecież Pan Bóg nie skąpo szczęściem ich obdarzył, gdyż dał im miłość, zgodę i ufność w Opatrzność nieba. Jedno dopiero dziecię uśmiechało się do nich z kolebki, więc był czas jeszcze przysposobić chleba dla niego. Wioska była własna i od długu wolna, było to zatem szczęśliwsze od wielu innych położenie, za które codzień w głębokiej pokorze dziękowali Najwyższemu.

Gawędząc państwo Radowscy, nie spostrzegli się, że już noc zapadła zupełnie, gdy wtem pies u ich nóg leżący zerwał się, zaszczekał, patrząc w stronę, w której oni też wkrótce postać nadchodzącego człowieka ujrzeli.

— Kto tam? zawołał p. Radowski, rozkazując psu leżeć spokojnie. Czego chcesz? powtórzył.

— Służby szukam, odezwał się głos młody i dźwięczny.

— Służby, któż szuka służby po nocy?

— Zapóźniłem się...

— Ja nie potrzebuję nikogo, mam ludzi tyle u siebie, ile wymaga moje gospospodarstwo, rzekł dziedzic, przypatrujac się trochę podejrzliwie nieznajomemu. Jak się nazywasz, dodał, gdzie rodzice twoi?

— Nazywam się Adam Łukaszewski, jestem sierota.

Na ten wyraz *sierota*, pani Radowska pochyliła się ku mężowi i szepnęła do niego tkliwym głosem:

— Nie odprawiaj go z niczem, proszę cię; każ przyjść jutro, może ci się przyda do gorzelni.

— A gdyby to było co poczciwego... zobaczymy. Pójdźno mój chłopcze, rzekł dalej, zwracając mowę do przybyłego, i pokaż mi się przy świetle w pokoju, a powiedz mi też co więcej o sobie. Z których stron jesteś?

— Z okolic Łukowa, gdzie mieszkali

(1) Opowiadanie to wyjęte ze szkółki dla młodzieży, r. 1854.

rodzice moi. Szedłem teraz do stryja, który tu siedział pod Łomżą w Szczepankowie, żeby mi dał jaką radę, ale dowiedziałem się, że już umarł od roku.

— Cóż ty umiesz, pytał się dalej pan Radowski, wchodząc z Adamem do oświetlonego pokoju i przypatrując się jego wyniosłej postawie.

— Umiem wszelką gospodarską robotę, trochę czytać i pisać, i mam wielką chęć do pracy.

— Będę ja potrzebował żwawego i trzeźwego chłopca na pomocnika gorzelanemu. Czybyś się podjął tego obowiązku?

— Czemu nie? przyuczę się do wszystkiego.

— Więc przenocuj tu dzisiaj, a idź do gospodyni upomnieć się o wieczerzę. Jutro rano dłużej pogadamy.

Jakoż na drugi dzień Adam jeszcze lepiej ze swej mowy szczerej i roztropnej podobał się panu Radowskiemu. Zatrzymał go zatem u siebie i codzień bardziej z niego był kontent. Chociaż Adam miał zaledwie lat dwadzieścia, odznaczały go jednak szczególniejsza rozwaga i rozum zdrowy. Nigdy nie odpowiadał bez namysłu, przypatrywał się bacznie wszystkiemu, a z tego co widział, umiał sobie w potrzebnym razie wyciągnąć naukę. Wkrótce też został prawą ręką swego pana, który lubił się go radzić we wszystkiem i słuchał go chętnie, choćby był zupełnie przeciwnego zdania. Tak minęło cztery lata.

We dworze jeszcze dwie przybyły córeczki, lecz sam dziedzic z wielkiego przeziębienia w zimie ciężko zachorował, i mimo najtroskliwsze starania lekarza i żony, w niespełna dwa miesiące oddał Bogu ducha.

Zaraz po śmierci jego zjechali bracia i krewni pani Radowskiej, radzili wioskę sprzedać, a jej samej osiąść w mieście i żyć z procentu, który od summy wziętej za wieś pobierać będzie.

— Niech przynajmniej przez rok żałoby tych miejsc nie opuszczam, rzekła z boleścią pani Radowska; ja tak mało potrzebuję teraz, że ladajaki dochód mi wystarczy. Będę gospodarować z Adamem, którym mój mąż często się wyręczał i z którego był bardzo kontent.

— I tak rok upłynął, Adam rządził wszystkiem i pracował z wielką gorliwością, a czy to był rok taki pomyślny, czy praca jego tak skuteczna, dość, że dochód pokazał się większym, jak się spodziewano. Jeszcze za życia dziedzica Adam przypatrzywszy się jego gospodarstwu i poznawszy grunta dokładnie, widział, że pan Radowski niepotrzebnie ostatni grosz wydaje na wprowadzenie niektórych odmian, które nie przynosiły żadnej widocznej korzyści. Po nieboszczyku zostało pełno obstalunków machin, wiele zaczętych budowli, a więcej jeszczej planów i projektów kosztownych ulepszeń. Adam zaś przystąpił do zarządu z praktycznym rozumem. Odrzucając wszelkie nowości i widząc, że grunt najwięcej sprzyja ziemniakom, które się tu rodziły piękniejsze i obfitsze, niżeli w całej okolicy, zasadzał ich wielką ilość i przerabiając na okowitę, sprzedawał tak korzystnie, że już w trzecim roku po śmierci dziedzica zebrał dla pani Radowskiej oprócz zwyczajnego z tego majątku dochodu, przeszło dwadzieścia tysięcy złotych polskich.

Uradowana dziedziczka ofiarowała Adamowi pięćset złp., za co ów dziękując, rzekł:

— Wkrótce da Bóg dołożymy więcej na posagi dla panienek. Niechaj tylko pani będzie spokojna, ma w Bogu nadzieję i nie słucha tych panów, co nie znając dobrze Wulki, radzą, żeby ją sprzedać.

— Właśnie tu wczoraj zgłaszał się kupiec i postąpił mi dziesięć tysięcy więcej, jak w roku zeszłym dawano. Wszyscy radzą, żebym sprzedała, mówiąc, że to tylko traf szczęśliwy, że się zrodziły ziemniaki i tak powiększyły dochody.

— Niechaj wielmożna pani tak czyni, jak będzie jej wola, ale ja się spodziewam, że i przyszły rok niezły jej grosz przyniesie, gdyby nawet i ziemniaki chybiły.

Pani Radowska ucieszona, że może pozostać na rodzinnej skibie, z radością wysłuchała zapewnień Adama i zapowiedziała wszystkim stanowczo, że wioski nie sprzeda.

Mijały lata, i w Wulce rosły trzy piękne panienki, a w matczynej szkatule rósł dla nich posag, bo Adam poczciwy gospodarował tak, że się aż z okolicy zjeżdżano przypatrzeć się, jakim sposobem podniósł on do czterdziestu tysięcy intratę wioski, z której nieboszczyk miewał zaledwie pięć lub sześć tysięcy. Lecz tym cudem była tylko praca uczciwego

człowieka, który umiał dopatrzeć rozumnie, gdzie zwrócić największe usiłowania swoje. Gdy już najstarsza panienka miała lat piętnaście, ktoś poradził pani Radowskiej, żeby jechała na dokończenie edukacyi za granicę, a ona swoim zwyczajem, zapytała zaraz Adama, co on o tem myśli?

— Za granicę wieźć nasze panienki! zawołał z poufałością dawnego sługi. A to po co? one tam mieszkać nie będą, po co więc im się uczyć cudzych wymysłów? Czy im to mężów na obcej ziemi szukać; szczęście na swoim zagonie najpewniejsze, a rozumu dla nich i u nas w kraju dosyć się znajdzie.

Moja nieuczona rada, ale serdeczna jest taka, żeby wielmożna pani siedziała w Wulce, i oprócz nauki z książek, pozwoliła panienkom zajmować się potrochu gospodarstwem domowem, a to może potrzebniejszem dla nich będzie, jak zagraniczne nauki, i mówiąc to, wyliczył dopiero co wzięte za jakąś sprzedaż kilka tysięcy. Pani Radowska dziękując Adamowi za zdrową radę, odsunęła dla niego ze złożonych pieniędzy dwieście złotych, Adam zaś poszedłszy do siebie, zapisał zaraz jak najskrupulatniej w umyślnie na ten cel zrobionej książeczce:

„Dnia 14 marca r. b. wielmożna pani dała mi z pieniędzy, które wziąłem za groch i owies, złp. 200.“

Zapisał zaś dlatego, żeby jak powiadał, dzieci jego, lub ktokolwiek inny nie myślał potem, że te pieniądze złym sposobem mu przyszły i że on się zbogacał kosztem swoich państwa.

Chociaż powiększył tak znacznie intratę Wulki i pracował jak na swojem, nie przyszło mu nawet na myśl prosić o powiększenie zasług, które pozostały zawsze te same, jakie mu pan Radowski przeznaczył, to jest 300 złp. rocznie. Odziewał się skromnie, nie pijał żadnych trunków i zgoła nie pozwalał sobie żadnego zbytku. Ożenił się był z pokojówką siostry swojej pani, ubogą sierotą, wychowaną we dworze, pobożną, dobrą, pracowitą. Pożycie ich było pod każdym względem wzorowe; raz tylko po kilkoletniem pożyciu, gdy żona chcąc, żeby Adam, który nie pijał wódki, rozgrzał się czasem w zimie herbatą, kupiła bez jego wiedzy samowar, rozgniewał się na nią.

— Samowar u nas wieśniaków, zawołał, po co? czyśmy to nie na barszczu chowani, żebyśmy mieli herbatę pijać? Panom się tylko zdaje, że to dobre ta ciepła woda, bo się do niej nazwyczaili, ale my żebyśmy mieli używać tego, co ani nakarmi, ani pokrzepi, to doprawdy, że jest rozśmiać się z czego. Ot, napatrzałaś się tego po dworach, to ci się i zachciało, ale wiesz ty, co za takim zbytkiem idzie? Jest samowar, to zaraz będzie potrzeba filiżanek malowanych, potem jakże się obejść bez łyżeczek, choćby tylko podobnych do tych, jakie mają we dworze. Wtedy trzeba będzie zaprosić gości i włożyć suknię może jeszcze z falbanami. A zkąd nam wziąć na to wszystko? Wszak my nie wiele mamy, a wydając więcej jak możemy, znajdziemy się w biedzie, a strach pomyśleć, żeby pańskie pieniądze do dłoni nam się nie przylepiły, jak przyjdzie taka oto pokusa? Moja Marcysiu, proszę cię, oddaj zaraz ten samowar, bez którego tak nam było dobrze dotąd. Poczciwa zona z uległością wysłuchała i spełniła radę męża.

Niezmordowany w zabiegach Adam znosił co rok znaczne pieniądze, zebrane z Wulki, której wartość podniósł w dziesięcioro. Wdzięczny, jeżeli pani odsunęła czasem na jego stronę jakie paręset złotych, biegł zaraz zapisywać je do swojej książeczki, ale stokroć więcej radował się, widząc, że już wkrótce dojdą do zamierzonej ilości pieniądze, zbierane przez niego na posag panienkom. Pewnego też razu wszedłszy do pokoju dziedziczki ze znaczną za sprzedaż produktów sumą, oddając takową, rzekł do niej z pełnem wesela obliczem:

— No, teraz jedź wielmożna pani do Warszawy pokazać światu swoje panienki, i każ ich tam jeszcze douczyć, czego będzie potrzeba. Każda z nich ma teraz po sto tysięcy złp. leżących na posag, i choćby zamąż poszły, to zawsze wielmożna pani będzie mogła zostać przy Wulce.

— A wszystko to winniśmy tobie poczciwy, szlachetny Adamie, powiedziała pani Radowska, wyciągając do niego rękę, którą on z uszanowaniem ucałował. Chodźcie dzieci, mówiła dalej do córek, podziękujcie Adamowi i kochajcie go, bo on dla was pracował.

Z drugiego pokoju wybiegły trzy piękne

jasnowłose panienki, uśmiechając się wdzięcznie do Adama i wyciągając ręce ku niemu.

— My także, powiedziały mu panienki jednomyślnie, będziemy tak pamiętać o dzieciach twoich, jakeś ty o nas pamiętał.

Adam rozczulony, słowa wymówić niemógł, a tylko rękawem swej szarej kapoty otarł dwie duże łzy spadające mu po policzkach.

Tak Adam, którego prawdziwego nazwiska wam tutaj nie wymienimy, żyje dotąd, zna go i szanuje cała okolica. Zacny syn kmiecia, dziecię ludu wiejskiego ma wszystkie jego przymioty, a wad się pozbył za pomocą wielkiej roztropności swojej. Stoi przed naszemi oczami, jako rzadki przykład szlachetności, której trudno nie podziwiać i nie podać do naśladowania.

---

## Wiadomości o książkach dla ludu.

### Gawędy księdza proboszcza pod Lipami.

(Dokończenie, patrz nr. 45 Cz.)

Stasiak znowu, inne zupełnie życie prowadził; żeby o północku wstać, to się nie poleni, aby tylko poratować kogo; żeby przyszło odjąć sobie od gęby, to odjął, jak tylko wiedział, że tem zrobi co komu dobrze. I kobieta też jego idąc za przykładem męża, co mogła, to ludziom świadczyła, ztąd wszyscy ich inaczej nie nazywali, tylko poczciwe Stasiaki, bo byli to ludzie, coby każdemu radzi nieba przychylić. To też nietylko wieś cała, ale i dwór bardzo ich szanował i obserwował; bo jakże nie szanować tych, co żyli samą tylko prawdą i poczciwością.

Na takich sprawach upłynęła zima, potem wiosna, wreszcie lato nadeszło, a każdy z nich żył poswojemu: Stasiak jak poczciwy i miłosierny człowiek, Bugaj jak samolub, co zapomniał o Bogu i zrobił pieniądz swoim Bogiem. Żniwa właśnie co tylko się ukończyły, każdy pościągał co mógł do stodoły i radował się w duszy, że pracy jego Pan Bóg pobłogosławił. Jednego dnia wieczorem w chałupie u Stasiaka, kiedy wszyscy zebrali się do wieczerzy, ten odezwał się: Moje dzieci! Bóg pozwolił nam ukończyć żniwa, niechże będzie święte Jego Imie pochwalone. Ale kiedy tyle dobrego Bóg nam w zdrowiu pozwolił doczekać, to nam należy podziękować za te łaski, i dlatego pójdziewa jutro wszyscy do kościoła na mszę świętą, co ją zakupię za swoje własne pieniądze.

Bugaj tymczasem u siebie zupełnie czem innem był zajęty; po wieczerzy wziął skarby i zaczął liczyć, ile ma jakiego zboża, wiele z tego może się spodziewać ziarna, i ile za nie wziąć może pieniędzy; i kiedy mu wypadło, że schowa najmniej ze sto złotych, to zasmucił się i rzekł: To mało... o! trzeba się jakoś zaoszczędzić. Naprzódwięc koniom trzeba ino plewy dawać, dla parobka mniejszy chleb wypiekać, a na mąkę wszystko pomleć, choćby kąkol i wykę.

Kiedy się po wsi rozeszło, że Stasiak ma jutro zakupić mszę świętą, tak jaki taki przyszeł do niego i wetknął to dziesiątkę, to złotówkę, co kto mógł na dokładkę do nabożeństwa, żeby też i jego była tam jakaś cząstka. Widząc Stasiak taką z tego w ludowinie ochotę, obszedł wieś całą z tacką w ręku, żeby nikogo nie pominąć. Jak przyszedł z drugim gospodarzem do Bugaja, ten skrzywił się trochę z początku, ale potem udał niby wielką do składki ochotę i zaraz w mieszku zaczął szukać pieniędzy. I długo przewracał, sykał, niecierpliwił się, aż wreszcie wydobył trzy dziesiątki: jednę, co nie miała żadnego waloru, druga sfabrykowana przez kogoś z grosza, a trzecia zupełnie wytarta. Stasiak obaczywszy to, rzekł z oburzeniem: Mój sąsiedzie, co nie idzie z przymusu, to tego sądzić nie wypada, ale powiem wam, że ludzi da się czasem okpić i ludzie się tego nie domiarkują, ale Boga nigdy nie oszukacie. Dlatego jacy wy szczerzy dla Boga, takim będzie Bóg dla was. Oj! źle mój sąsiedzie sobie poczynacie, pamiętajcie, żebyście kiedy tego nie pożałowali.

Po owym dniu, kiedy ludzie nabożeństwem składkowem Bogu podziękowali, taka się noc ciemna zrobiła, że jak to mówią, choć oko wykol. W karczmie ludzi było dosyć, a że znalazły się i skrzypki, więc zabrano się do tańca. Pomiędzy patrzącymi był i Tomek syn Bugaja, o którego ojciec będąc niespokojny, że nie przychodzi do domu, i że nawet nie jadł wieczerzy, udał się do karczmy i z fukiem przygnał go do domu. Chłopiec zmarkocony nie poszedł spać do izby, ale wlazł w siano na górę. Bugaj kontent, że ma już syna

w chałupie, pozamykawszy wszystko starannie, poszedł do komory jak zwykle ucieszyć się swemi pieniędzmi, poczem zabrał je z sobą do łóżka. Ale choć niedługo zasnął, przewracał się jednak bardzo niespokojnie; śniło mu się bowiem, że wypadli złodzieje i jedni duszą go za gardło, a drudzy wydzierają worek z pieniędzmi. Zaczął się więc z nimi szamotać, chciał krzyczeć, ale głos zamierał mu w piersi, a duszenie czuł coraz wyraźniej i silniej, tak, że pod jego naciskiem obudził się i obaczył najawie, że go jacyś oknem ciągną, a dokoła taka wrzawa i taka latanina, że aż struchlał i mrowie go przeszło po ciele. O! bo też widok, jaki miał przed oczami, był okropny: cała chałupa, stodoły, obory, wszystko stało w płomieniach i paliło się z takim hukiem, że o ratunku nie było co i myśleć. Bugaj boso, w jednej tylko koszuli stał blady jak trup, z oczami w ogień wlepionemi, i kiedy niekiedy wyciągając ręce ku chałupie, wołał jak obłąkany: Ludzie, ratujcie mego Tomusia, on tam na górze pali się, ratujcie, ratujcie!

Ale wszelki ratunek był niepodobnym, bo ogień tak nagle się szerzył, że gdyby Stasiak nie był wyszedł przypadkiem nadwór i nie postrzegł palącej się chałupy, byłby niezawodnie spalił się i sam Bugaj, gdyż Stasiak aż oknem wszedł do izby i nawpół odurzonego już dymem wyciągnął na podwórze.

Ogień, jak się zdaje, sam Bugaj zapruszył, chodząc ze światłem na górę zobaczyć, czy chłopiec już zasnął, i tak nieszczęśliwy ten człowiek utracił z dopuszczenia Bożego, a własnej winy, w jednej chwili wszystko, co miłował, i syna i cały swój dobytek, tak dalece, że został w jednej tylko koszuli, i gdyby nie litość Stasiaka, który widząc jak stary drży od zimna, dał mu swoję sukmanę, to nawet swej nagości nie miałby czem osłonić. Ale on nie dawał na to baczenia, tylko od czasu do czasu załamywał ręce i mówił przejmującym głosem: Tomusiu! moje kochane dziecko, chodź do mnie—ludzie ratujcie, ratujcie!

Na drugi dzień jak tylko przyszedł nieco do przytomności, tak zaraz poszedł na ognisko szukać pieniędzy, ale najmniejszego śladu nie mógł z nich znaleść, i tak przepadły jak kamień w wodę. Słowem wyszedł na nędzarza, a nie mogąc dla wieku ciężko pracować, został pastuchą wiejskim.

Dwór ratując dawnego gospodarza, choć na to nie zasługiwał, obsiał jego pola, i gdy Bugaj nanowo myśleć zaczął o gospodarstwie i już miał sobie przed nadchodzącemi żniwami wyznaczoną stodołę i pomieszkanie, na jeden raz przyszła taka burza i taka ulewa z gradem, że w kwadrans czasu nawet jednego kłosa na polu Bugajowem nie zostało. Razem z Bugajowem polem grad wymłócił także i przyległe pole Stasiaka, ale gdy o Bugaja nikogo głowa nie zabolała, to za Stasiakiem cała prawie wieś płakała, i jak zaczęli składać mu się potrosze i gdy i dwór oddzielił dlań po kilka zagonów każdego zboża, tak się pokazało, iż Stasiak nietylko nic na gradobiciu nie tracił, lecz że lepiej wypełnił stodoły, aniżeli w najpomyślniejsze żniwa. Widząc on w tem wszystkiem oczywistą łaskę Bożą, jak się tylko z zasiewem uspokoił, tak zaraz zajął się postawieniem krzyża, na podziękowanie Bogu za jego cudowną nad sobą opiekę.

Bugaj tymczasem błąkał się po wsi, jakby niespełna rozumu, i na wszelkie przełożenia odpowiadał: A cóż ja teraz pocznę bez pieniędzy? do kogóż się udam? gdyż zapomniał zatwardziały grzesznik, że Bóg przedwieczny jest w każdym razie naszą ucieczką, że mu do Niego udać się należało; i byłby w tej grzesznej rozpaczy duszę swoję zagubił, gdyby wreszcie Bóg sam nad nim się nie ulitował, dla upamiętania nie powiódł go na obchód postawienia krzyża ufundowanego przez Stasiaka. Kiedy bowiem po poświęceniu krzyża kapłan temi mowę swoję do ludu zakończył słowy:

— Zawsze więc mili chrześcianie! pamiętajcie mieć Boga w sercu, nie zapominając nigdy, że On jest wszystkiem, a bogactwo, dostatki, majątek, niczem, i w jednej chwili mogą być przez Boga odebrane. Kto bowiem zapomina o Bogu, to i Bóg o nim także zapomni, gdyż taki człowiek grzeszy przeciw najpierwszemu przykazaniu: nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną.— a lud na te słowa tak się do Bugaja stosujące, głośnym załkał płaczem, wtedy Bugaj padłszy na kolana i wielkim zawoławszy głosem: O Boże! Boże! przebacz moje grzechy i zmiłuj się nademną, cały oblał się łzami, i już klęcząc i bijąc się w piersi, dalej po cichu modlił się żarliwie.

Od tego zdarzenia Bugaj zniknął z wioski bez wieści. Upływały lata, Stasiak coraz wzrastał w poszanowanie i zamożność, dzieci mu podorastały, i właśnie sute wyprawiał wesele swej córce Basi, kiedy zjawił się w chałupie jakiś żebrak z długą białą brodą, i rzekłszy Boskie słowo, stanął przy drzwiach w kąciku. Każdy opatrzył go czem mógł, i dopiero gospodarz przystąpiwszy do niego z kieliszkiem wódki i kromką chleba, poznał w nim z wielkiem podziwieniem dawnego swego sąsiada Bugaja.

On to był rzeczywiście, co poznawszy ciężkie swoje winy, oddał się surowej pokucie i żalowi; od owego wypadku zwiedzał on miejsca święte, i modlił się gorąco, utrzymując życie tem, co wyprosił u ludzi. Po długich wędrówkach powracał do rodzinnej wioski, ażeby przed śmiercią wybłagać przebaczenie od tych, którym tylokrotnie wyrządzał krzywdy, a zastawszy zebranych wszystkich u Stasiaka na weselne gody, udał się tam, i ściskając jednego po drugim, prosił ze łzami o darowanie dawnych swych win. Poczciwy ludowina chętnie mu je przebaczył i zapłakał z nim razem.

Bugaj żył jeszcze długo między swymi i został pastuchą wiejskim; historya jego do dziś dnia przechowuje się pomiędzy mieszkańcami tej wioski, a jak tylko dostrzegą, że kto nie ma nad biednym litości, robi szkody, dla nikogo nie okazuje przychylności, tylko choćby skórę zedrzeć z drugiego, to ją zedrze, aby tylko jemu przyszła ztąd jaka korzyść, to zaraz wszyscy mówią: to czysty Bugaj, co zapomina, że Bóg w przykazaniu pierwszem powiedział: *Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną.*

—

Taką jest główna treść tej książeczki, będącej 1szą serją, dalszych tego rodzaju gawęd, czyli powieści księdza proboszcza; z niej najlepiej czytelnicy ocenią jej prawdziwie chrześciańską dążność. Dlatego nie wahamy się zalecić czytelnikom naszego pisma, przekonani o istotnym pożytku, jaki niejednemu przynieść ona zdoła, tem więcej, gdy i cena jej jest bardzo przystępną; książeczka ta albowiem, obejmująca 120 stronnic ścisłego druku, tylko 2 złp. (30 kop. sr.) kosztuje.

Obok tego sądzimy naszym obowiązkiem oddać sprawiedliwość nakładcy, iż mniej ubiegając się za zyskiem, oznaczył tak umiarkowaną cenę, czyniąc tym sposobem pożyteczną tę książeczkę, przystępną dla większej liczby czytelników, a zarazem oznajmić, iż księgarnia tegoż p. Nowoleckiego, będąc zaopatrzoną w znaczną ilość książek dla ludu wydawanych w języku polskim, tak w kraju, jak i za granicą, które odstępuje po cenach nader umiarkowanych, przyczynić się może do rozpowszechnienia pożytecznych pomiędzy ludem naszym książek, czego z całego serca dla nich pragniemy.

---

## *Życiorysy kmieci.*

(Patrz nr. Cz. 39).)

### 3. Halimoniuk.

—

W gubernii Lubelskiej, powiecie Bialskim, ze wsi *Czuchleby*, nagrodzonym został przez Towarzystwo Rolnicze kmieć pańszczyniany *Halimoniuk*.

Zamieszkuje on chatę chociaż nie nową, ale bardzo porządnie utrzymaną. W izbie głównej stoją krosna, stół, żarna i łóżko czysto przykryte, na pułkach sprzęty gliniane i żelazne, w kącie szafka z książkami do nabożeństwa, a na ścianach obrazy świętych za szkłem i w ramach. Obok sieni komora z oknami, w której rozmaite rzemieślnicze statki i przybory gospodarskie — w gumnie sieczkarnia ewansowska, a w oborze osobne zagrody na każde bydlę, spichlerz z podłogą, skład osobny na drzewo opałowe. Przy domu ogród owocowy, w polu dobra i porządna uprawa. Czas wolny od pańszczyzny i gospodarstwa własnego obraca na uczenie dzieci czytania i pisania. Trzeźwy, bogobojny, pracowity i oszczędny, przyszedłszy do zamożności, użył zebranego grosza przedewszystkiem na cześć Boską i użytek ludzki; własnym kosztem w tej wsi odległej od kościoła parafialnego wystawił kaplicę, już dzisiaj przez władzę duchowną poświęconą. W niej on, wraz z gromadą wsi Czuchleby składa korne modły Bogu za błogosławieństwo, jakiego doznaje w pracy swojej i w zebranym dostatku. A gromada cała otacza uszanowaniem cnotliwego *Halimoniuka.*

---

Wdruk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 27 paździer. (8 listop.) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*